

Dziewczyna
kata

Magda

K N E D L E R

Dziewczyna
kata

MANDO 

© Wydawnictwo WAM, 2019

© Magdalena Knedler, 2019

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na pierwszej stronie okładce: © faestock/Shutterstock

Zdjęcie autorki na okładce: Dariusz Kobucki / Studio INIGO

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2204-1

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk: OPOLGRAF • Opole

Publikację wydrukowano na papierze Igepa Creamy 70 g vol. 2.o
dostarczonym przez Igepa Polska Sp. z o.o.

Główni bohaterowie powieści, zarówno na planie współczesnym, jak i historycznym, są postaciami fikcyjnymi. Losy bohaterów z planu historycznego oparłam jednak na motywach biografii kilku siedemnastowiecznych mistrzów sprawiedliwości, złotników i kobiet oskarżonych oraz skazanych na śmierć za uprawianie czarów. W książce czytelnik znajdzie również wzmianki o postaciach historycznych i autentycznych siedemnastowiecznych dziełach sztuki złotniczej oraz odwołania do rzeczywistych wydarzeń z dziejów Wrocławia, Ząbkowic Śląskich i Wileńszczyzny, a także do popularnych miejscowych legend. Więcej informacji podaję w posłowiu.

Życzę satysfakcjonującej lektury i przyjemnego poszukiwania skarbów!

*You say you want
Your story to remain untold*

*(Mówisz, że chcesz,
by twoja historia pozostała
nieopowiedziana)*

U2, All I Want Is You

Rozdział 1

Wrocław, 2018



Wydawało mi się, że wiem dużo o starych domach. Skrzypiąca podłoga, trzeszczące schody, przeciągi, wilgoć. Stały katalog zjawisk przypisywanych wiekowym budynkom. Nie da się ich zatuszować świeżą farbą, nowym parkietem, kafelkami i plastikowymi oknami, zagłuszyć mikrofalówką, elektryczną kuchenką i meblami z Ikei. Starość prędzej czy później da o sobie znać, odezwie się zaciekiem, grzybem i nikłym zapachem stęchlizny dobiegającym z piwnicy. Albo przyjemnym chłodem w lecie. Dom na pewno coś wymyśli, nawet jeśli przejdzie solidny lifting. Zawsze ma sporo do powiedzenia, nie da sobą pomiatać, nie pozwoli sobie odebrać tożsamości. Jest dumny ze swojego wieku i świadomy własnej historii.

Mieszkam w takim właśnie starym domu, połówce poniemieckiego bliźniaka, którą dostałam w prezencie od matki. Stać mnie na regularne płacenie rachunków, choć w zimie bywa to naprawdę trudne, ale na wynajęcie profesjonalnej ekipy remontowej już nie – zajmuję więc tylko jeden pokój, kuchnię i łazienkę. W pozostałych pomieszczeniach zalegają puszki z farbami i kartony pełne książek. Przyjęłam dom z całym dobrodziejstwem inwentarza, wystawiam się na jego kaprysy, cieszę się z jego zalet i uczę akceptować wady. Jest jak człowiek. Ludzie starzeją się przecież w taki sam sposób, kurczą się i pokrywają siatką spękań, są coraz kruchsi, a zarazem coraz

bardziej interesujący. Być może to z powodu rosnącej świadomości, że pewnego dnia przyjdzie im się rozsypać. Nowość i młodość nie myślą o rozsypaniu i śmierci, ale starość tak. Żyjemy więc razem, ja i mój dom przygnieciony bagażem upływających lat. Walczę z grzybem i zapachem stęchlizny, na tarasie nie mam balustrady, a schody wydają się dziwnie niestabilne. Jeden pokój jest teraz całkiem pusty – ten, w którym przecieka dach. Wiem już, że ustawianie na podłodze misek i wiader to rozwiązanie doraźne. Nie da się też ustawić ich ot tak, trzeba mieć plan, zlokalizować newralgiczne punkty, zminimalizować ryzyko uszkodzenia podłogi, którą kładł jeszcze mój dziadek, z prawdziwych dębowych desek, a nie jakichś drewnopodobnych paneli. Stary dom jest wymagający. Myślę o tym każdego poranka, kiedy uruchamiam pochłaniacz wilgoci i czekam, aż odparują szyby, żeby zobaczyć przez nie jesienne błoto i nieskoszoną trawę latem. Ściany trzeszczą, skrzypią i jęczą. Próbuja mi pewnie powiedzieć, że powinnam się przenieść do bloku, a tutaj sprowadzić kogoś godniejszego, poważniejszego, z wrodzonym poczuciem obowiązku wobec ważnych miejsc i cennych przedmiotów. Kogoś takiego jak moja matka, która zajmuje drugą – pięknie wyremontowaną – połówkę poniemieckiego bliźniaka. Wszystko jest u niej perfekcyjne, od idealnie wypielęgowanego trawnika po olśniewająco białą fasadę.

Tak, byłam przekonana, że wiem dużo o starych domach.

A jednak ten, w którym mieszka doktor Gradowski, zaskoczył nawet mnie. Tutaj nie wchodzi się tak po prostu, bez głębszej refleksji. Forsowanie twierdzy Gradowskiego jest skomplikowanym ceremoniałem obejmującym przedzieranie się przez żywoplot w poszukiwaniu furtki i rozgarnianie firanek bluszczu, by w ogóle natrafić na drzwi wejściowe. Kiedy wreszcie zapukałam – dzwonka nie było – miałam we włosach liście i podałam sobie spodnie. Pomyślałam, że ludzie, którym udaje się stanąć w tym miejscu,

muszą w pełni doceniać podniosłość takiej chwili, czuć poniesiony trud i satysfakcję z dotarcia do celu. Łatwa zdobycz nikogo nie cieszy.

Doktor Gradowski tego dnia włożył czerwone bokserki i rozciągniętą koszulkę z napisem „Więś tańczy i śpiewa”. Zostałam uprzedzona, żeby absolutnie niczemu się nie dziwić. To wielki artysta, ma prawo do swoich dziwactw. Podobno.

Nie przywitał się, tylko rzucił:

– Smażę jajka.

Później machnął ręką, co zinterpretowałam jako zaproszenie. Poszłam za nim do kuchni i stanęłam niepewnie w progu. Doktor Gradowski zgarnął z krzesła jakieś szmaty, rzucił je na podłogę i kopnął pod ścianę.

– Chcesz trochę? – zapytał, wskazując patelnię. – Ciut sucha, bo się za długo smażyło.

– Nie, dziękuję.

Ze strony Gradowskiego nastąpiło wzruszenie ramion, jak również dał się zauważyć brak szczególnego zainteresowania moją osobą. Być może to jego sposób podejmowania gości. Zerknęłam na dziurę w swoich szerokich lnianych spodniach, pamiątkę po zdobywaniu tutejszej fortecy. Gdybym włożyła dżinsy, nic takiego by się nie stało. Zawsze miałam problem z dokonywaniem właściwych wyborów, a ta ułomność zaczyna się od garderoby.

Sięgnęłam do przepastnej torby i wyjęłam mikrofon, rekwizyt, którego nijak nie mogłam do tej przestrzeni dopasować. Ja sama również tu nie pasowałam, każdy mój gest wydawał się niezgrabny, każdy uśmiech sztuczny, każdy chichot idiotyczny, bałam się nawet głośniej westchnąć albo chrząknąć. Chyba od zawsze miałam wrażenie, że stare domy nie tylko znają swoją wartość, ale i wyczuwają intruzów. Ten wyczuł mnie. Byłam intruzem z dziurą w spodniach i mikrofonem w ręku.

Gradowski lekko zmarszczył brwi.

– Tosiek cię przysłał?

– Antoni, tak.

– Mmmm.

Nałożył sobie na talerz jajecznicę i usiadł na rozklekotanym taborecie. Niedbałym gestem wskazał krzesło, z którego przed chwilą zgarnął szmaty. Zrozumiałam, że przeznaczył dla mnie wygodniejsze siedzisko.

– To ty jesteś ta z radia, tak?

Omiótł wzrokiem mój mikrofon i zrobił to z wyraźną niechęcią.

– Prowadzę program o...

Chciałam się wytłumaczyć, ale on tylko machnął ręką.

– Wiem, wiem. Nożyczki z okopów, chochla z powstania warszawskiego, kibel jakiegoś króla i tym podobne.

– Chodzi o przedmioty, które...

Ponownie opanowała mnie potrzeba wytłumaczenia się, choć przecież on doskonale wiedział, kim jestem i po co przyszłam. Nie podobały mi się jego uciszające, cesarskie gesty ani słowo „kibel”, które brzydko trywializowało całe zagadnienie.

– Tak, tak – wymamrotał.

Wpakował sobie do ust łyżkę jajecznicy i zaczął energicznie przeżuwać. Milczałam, bo nie wiedziałam, jak z nim rozmawiać. Pod tym względem także mnie zaskoczył. Jako „ta z radia” nauczyłam się mówić na dowolny temat z każdym, nawet z ludźmi, którzy na moje pytania odpowiadali monosylabami lub kiwnięciem głowy, co wypadało szczególnie interesująco przed mikrofonem w studiu. Zawsze wtedy spieszyłam z komentarzem w rodzaju: „czyli potwierdza pan, że”, „rozumiem, że się pani ze mną zgadza” albo „jak to dobrze, że mamy takie samo zdanie”. Później grałam jakiś utwór, a za kulisami cierpliwie tłumaczyłam, że nasi słuchacze nie widzą kiwnięcia głową, bo to przecież radio, a zatem byłabym wdzięczna, ogromnie

wdzięczna, za nadanie myślom werbalnego kształtu. Napominałam swoich rozmówców uprzejmie i spokojnie, zawsze z szerokim uśmiechem. Staralam się rozumieć ich stres, który dawno już przestał być moim udziałem. Denerwowałam się w urzędach, tramwajach i barach szybkiej obsługi, ale nigdy podczas prowadzenia programu. Miałam na swoim koncie różne doświadczenia, zapraszałam do studia ludzi, którzy nie potrafili mówić ze słuchawkami na uszach, dwukrotnie owinęłam sobie kabel dookoła szyi, trzykrotnie posłałam w eter wiązkę, bo zapomniałam, że ciągle jesteśmy na antenie, i kilka razy odebrałam telefon od słuchacza tylko po to, by usłyszeć jakieś brednie o moim seksownym głosie albo wyznanie miłosne w stylu polskich romantyków. Umiałam wybrnąć. Zawsze i ze wszystkiego. Chciałam, by moi słuchacze i rozmówcy czuli się komfortowo, i starałam się trzymać odpowiedni poziom.

Doktor Gradowski nie przejmował się jednak ani moim komfortem, ani trzymaniem odpowiedniego poziomu. Przez chwilę wpatrywałam się w swoje dłonie, teraz spocone i zaciśnięte na nogawkach spodni. Gradowski przeżuwał. Nieśmiało zerknęłam na jego długie włosy splecione w warkocz. Wśród ciemnych kosmyków błyszcząły pojedyncze pasma siwizny. Twarz miał smagłą, wokół oczu i ust drobne zmarszczki, w uszach srebrne kółka. Czoło wysokie, policzki lekko zapadnięte, tęczęwki nienaturalnie błękitne. Ciekawiło mnie, jak wyglądał dawniej, kiedy nie był jeszcze artystą, który ma prawo do swoich dziwactw, ale zwykłym młodym chłopakiem ubranym w bluzę i trampki. Na pewno przez chwilę był zwykły. Każdy był i niektórym tak zostało na zawsze.

Gradowski zeszkrobał z talerza resztki jajecznicy i wytarł usta serwetką.

– To co? Kawusia?

– Poproszę – odpowiedziałam bez namysłu. Być może należało po prostu zrozumieć konwencję.

Odwrócił się i sięgnął po duży dzbanek. Dotarło do mnie nagle, że doktor Gradowski właśnie zjadł swoje śniadanie, choć minęła dziewiętnasta.

– To mów, po co przyszłaś.

Uznałam, że nie będę się na razie wygłupiać z mikrofonem i nagrywanie odłożę do rozmowy właściwej, która musiała przecież nastąpić w bliżej nieokreślonej, ale niedalekiej przyszłości. Teraz natomiast – jak uznałam – mieliśmy coś na kształt próby.

– Antoni powiedział mi...

– Tosiek to bałwan. Niezbyt mnie interesuje, co powiedział.

– Przecież pan go uczy!

– I nauczyć nie mogę. Nawet ja nie zrobię czegoś z niczego, a raczej nie ukręcę bata z...

– Tak, zrozumiałam. Widzę, że ceni pan sobie szczerść.

– A ty mówisz, jakbyś cytowała podręcznik o jedzeniu banana nożem i widelcem. Przejdźmy do rzeczy. Wiem, że masz ten swój program w radiu o przedmiotach z ciekawą historią. Jakiś tam cesarz grzebał sobie w zębach wykałaczką, teraz ta wykałaczka jest gdzieś w muzeum albo w zbiorach prywatnych, ty tam idziesz, zadajesz serię głupich pytań i robisz o tej wykałaczce audycję. W którym punkcie się pomyliłem?

Wzruszyłam ramionami. Na upartego można i tak to ująć.

– No dobrze. Mnie nic do tego, skoro ludzie chcą słuchać. Nie wiem tylko, do czego jestem ci potrzebny. Słodzisz?

– Nie.

– Mleko?

– Też nie, uprzejmię dziękuję.

Gradowski uśmiechnął się lekko i spojrzał na mnie nieco przychylniej, jak gdybym zyskała w jego oczach dzięki upodobaniu do picia ciemnego, mocnego i gorzkiego napoju, nabiła sobie punkty za sprawą wyrobionych kubków smakowych, których nie

da się zadowolić słodkim ulepkiem rozcieńczonym mlekiem. Usiadł z powrotem na swoim chybottliwym taborecie. Właściwie nie potrzebowałam kawy, bo ciśnienie skoczyło mi niebezpiecznie już kwadrans temu i czułam dziwne pulsowanie w klatce piersiowej. Niemniej zapach podziałał kojąco. Nachyliłam się nad filiżanką i odetchnęłam głęboko. Po nieprzespanej nocy i ciężkim dniu nie ma nic przyjemniejszego niż zapach świeżo zaparzonej kawy. Nawet jeśli trzeba ją wypić w towarzystwie Gradowskiego.

– Panie doktorze...

– Jestem Tomasz.

Powinłam z miejsca wiedzieć, że on nie będzie się przejmował konwenansami. Musiałam jakoś przez to przejść, przeżyć wizytę w domu skrytym pod bluszczem, zdobyć potrzebne informacje, czyli, jak stwierdził – zadać serię głupich pytań – i zrobić audycję. To był mój cel i należało nie tracić go z oczu.

– Dobrze. A zatem, Tomasz...

Gradowski cicho westchnął.

– Chodzi mi o kufel z wieczkiem wykonany przez Lazarusa Mesenhammera. To jeden ze...

– Skarbów z Bremy, wiem. Dalej.

– Ponoć historia kufła jest nieznaną aż do momentu jego pojawienia się w Galerii Neuse w Bremie, na aukcji.

– Tak. I co w związku z tym?

– To kufel z końca szesnastego wieku, wykonany przez jednego z najwybitniejszych wrocławskich złotników. Nie rozumiem, jak jego historia może być całkiem nieznaną aż do chwili, kiedy trafił na aukcję.

– I twoim zdaniem ja jestem tym, który rozumie?

– Nie wiem, ale...

– A słyszałaś o takich różnych rzeczach jak choćby klauzula poufności?

– Słyszałam.

– Czyli wiesz, że historia kufła może być znana, ale sprzedający nie chce o niej z takich czy innych powodów mówić, więc, no cóż, nie mówi, bo nie musi. Dom aukcyjny podpisuje odpowiedni papier i też nie mówi, bo też nie musi, jeśli akurat nie wymagają tego jakieś szczególne okoliczności. Nie ujawnia również informacji na temat swoich klientów. I oczywiście może zdarzyć się tak, że sprzedający faktycznie nie zna historii przedmiotu.

– Może się zdarzyć?

Kiwnięcie głową i bardzo rozbawione spojrzenie, które prawie wytrąciło mnie z równowagi.

– Szukasz sensacji? – zapytał po chwili.

– Nie wiem, czego szukam.

– Interesująca odpowiedź.

– Antoni... Tosiek twierdzi, że jeśli pan o czymś nie słyszał, to nikt nie słyszał. I że miał pan tu zdjęcie, które...

– A co ma twierdzić? Podlizuje się. Żaden z niego materiał na jubilera i złotnika, ale z jakiegoś powodu dalej tu przychodzi i próbuje. A jeśli chodzi o zdjęcie, to owszem, jest ono zdjęciem zdjęcia, znajoma mi je podesłała, kiedy wyszła sprawa ze skarbem z Bremy. Tosiek je zobaczył i przypomniał sobie, że szukasz na ten temat informacji. I oczywiście zaczął nudzić. Co miałem zrobić? Wiedziałem, że Tosiek może tak nudzić w nieskończoność. Powiedziałem, żebyś przysłała, skoro nie ma innego wyjścia.

– Panie dok... Tomaszu. Szukam pomocy u fachowca. Ten kufel nie daje mi spokoju. Owszem, widnieją na nim znaki – miejski, mistrza i węzyk probierczy. I tyle. Brakuje mi historii. Rozumie pan? Jakiejś narracji. Te znaki można przypasować do konkretów, do faktów, są czymś jasnym i namacalnym. A jednak...

Nie umiałam mu tego wyjaśnić. Za każdym razem, kiedy używam fachowych określeń związanych z branżą, na której słabo się

znam, mam wrażenie, że mówię śmieszne rzeczy. Mimo to wpadłam w słowotok i zaczęłam mówić, że to kufel manierystyczny, fasetowany, że punca miejska jest typowa dla znaku drugiego typu według rozróżnienia Hintzego – litera „W”. Znak probierczy używany przez mniej więcej pięćdziesiąt lat, mniej więcej między 1550 a 1598 rokiem. Znak mistrza – ML, należący do Lazarusa Mesenhammera, który działał we Wrocławiu w latach 1579–1614. Wieloboczny brzusiec. Trybowane pukle. Tendencja postgotycka. Wiedziałam, że mówię teraz nie tylko śmiesznie, ale jeszcze jak kiepska studentka, która nauczyła się na pamięć podręcznika. I tak było. Recytowałam to, co usłyszałam od innych lub przeczytałam w książkach, niczego nie odkryłam sama. Zapowietrzyłam się, odetchnęłam, po czym dodałam:

– Żadnych znaków kontrybucyjnych, importowych... żadnego herbu. Czy to znaczy, że kufel był zawsze tutaj? Nigdy nie wyjechał z Wrocławia? A może podróżował w kufrach jakiegoś patrycjusza lub rajcy? Może kupił go kolekcjoner? Może stał gdzieś przez całe lata u kogoś, kto nie potrafił oszacować jego wartości? Czy był tutaj podczas drugiej wojny światowej, przetrwał oblężenie Festung Breslau? Jak trafił do Bremy?

Gradowski po raz pierwszy spojrzął na mnie z zainteresowaniem. Przez chwilę drapał się po głowie. Upił łyk kawy, wstał z taboretu, wyjął z chlebaka dwa maślane rogaliki i położył je na talerzu.

– Coś słodkiego do kawy?

Przełknęłam ślinę. Byłam potwornie głodna, ale przecież nie mogłam teraz jeść ani nawet zastanawiać się nad rozchwianym planem dnia doktora Gradowskiego i jego dziwnymi nawykami żywieniowymi. Musiałam z nim rozmawiać. On musiał mi powiedzieć to, co chciałam usłyszeć.

– Czy kufel zawsze był tutaj, pytasz.

– A to złe pytanie?

– Nie, przeciwnie, bardzo dobre. Żadna ze stron, ani kupujący, ani sprzedający, ani pośrednik, nic ci na ten temat nie powie. Jak już wspomniałem – klauzula poufności. Dom aukcyjny nie udzieli ci takich informacji.

– Ale...

– A oficjalne dane masz w katalogach aukcyjnych. Puncce, datowanie, omówienie. I „los nieznany”, jak sama wspomniałaś. Nawet jeśli...

– Jeśli?

– Przypuśćmy, że coś tam odkryjesz, że ci się uda. A jednak – jeśli historia kufła ma jakieś ciemne plamy, jakieś rysy, niekoniecznie chlubne akapity, i tak nie opowiesz jej na antenie. Albo zaryzykujesz, opowiadając ją. Bo kogoś postawisz w złym świetle.

– Sprzedającego, nabywcę... galerię...

– I tak dalej. Co jeszcze zainteresowało cię w tym kufłu? – wszedł mi w słowo.

Przystąpiłam do kolejnej recytacji i czułam, jak z zażenowania płoną mi policzki.

– Przedstawienia kobiecych postaci ośmiu cnót – powiedziałam bez wahania. – Częsty motyw w tamtych czasach. Pojawiał się na pucharach, kielichach, kufłach, na pomnikach nagrobnych, w sztambuchach...

– W ogóle w sztuce – wtrącił.

– Tak. Właśnie. I tę modę widać także w szkicowniku znakomitego wrocławskiego złotnika Caspara Pfistera. Jego rysunki naprawdę robią wrażenie, można po nich poznać rękę mistrza, nie tylko jeśli chodzi o wyroby ze szlachetnych kruszców, ale i...

– Co jeszcze zauważyłaś na tym kufłu? – przerwał mi znowu.

– Różne rzeczy – odparłam szybko. – Na przykład spośród ośmiu cnót tylko Spes nie ma artybutu. I jeszcze, że grawerunek wydaje się najszlachetniejszym elementem kufła. Dekoracje na wieku są piękne, ale

cnoty przedstawione w medalionach korpusu kuffla – nieco toporne. Fortitudo ma ramię grubości swojej talii, Patientia włosy jak czarownica, Spes wklęsniętą twarz, Charitas wielkiego ślimaka na głowie, Fides trzyma krucyfiks pod takim kątem, jak gdyby zamierzała wbić go sobie w gardło, a Prudentia... cóż, tu jest znowu duży problem z rękami, są jak dwie grube kluski z mackami zamiast dłoni. Jestem bardzo ciekawa, czy te grawerunki zrobił sam Mesenhammer, czy może ktoś inny.

Bardzo chciałam mu zaimponować, ale on nagle ryknął śmiechem. Prawdopodobnie trochę przesadziłam z krytyką siedemnastowiecznego mistrza.

– Dobrze, bardzo dobrze. Jak się okazuje, jesteś całkiem bystra.

– Miło mi to słyszeć – syknęłam. – To jak? Mogę liczyć na twoją pomoc?

– Nie wiem. Może. Jeśli zrobisz jeszcze jedną rzecz.

– Jaką?

– Wróć do Biblioteki Uniwersyteckiej. Do Czytelni Zbiorów Specjalnych.

– Mam obejrzeć jeszcze raz szkicownik Pfistera?

– Nie. Nie ten. Mają tam dużo różnych rzeczy, jak zapewne wiesz. Tysiące rękopisów i starodruków, a to i tak kropla w morzu w porównaniu z wrocławskimi zbiorami przedwojennymi. Jest tam jeszcze jeden szkicownik. Prowadził go czeladnik pomniejszego wrocławskiego złotnika, nie budzi wielkiego zainteresowania, bo jest w nim niewiele zapisków, z czego większość nieczytelna. Pomijam oczywiście ludzi z branży. Ci zainteresują się każdym świstkiem, byleby był z dawnych wieków. Ktoś tam nad nim siedział, ktoś coś o nim pisał, ale nie jest to szczególnie poczytny dokument.

– I ten nieczytelny, nieszczególnie poczytny szkicownik mam obejrzeć? – upewniłam się.

– Tak.

– Dlaczego?

– Jeśli jesteś naprawdę taka bystra, jak mi się teraz wydaje, dostrzeżesz w nim coś intrygującego. Pewien przedmiot, szczególnie zapinkę. Broszę. Interesują cię przecież ciekawe przedmioty, prawda? Nie tym się zajmujesz?

– A co z kuflem Mesenhammera? Jest z nią jakoś związany?

– Być może.

– Być może? – powtórzyłam tępo, bo straciłam już resztki cierpliwości.

– Gradowski znowu się uśmiechnął łagodnym uśmiechem pobłażliwego profesora, który nic nie może poradzić na głupotę swojego ucznia i w pełni się z tym faktem pogodził. Odważyłam się poruszyć jeszcze jedną kwestię.

– Czy tę broszę ze szkicownika kiedykolwiek wykonano? Czy może czeladnik tylko ją narysował i mam się zajmować nieczytelnymi zapiskami o nieistniejącym przedmiocie? Bo wiesz, wołałabym się skupić na konkretach.

– Tak, wykonano ją.

– I dlaczego uważasz, że mnie zainteresuje? – zapytałam. Poczulałam, że robi mi się zimno.

Nie odpowiedział od razu. Skubnął kawałek rogała i zapatrzył się w okno. Bluszcz tańczył na wietrze, zanosilo się na deszcz. Kolejny paskudny listopadowy wieczór.

Gradowski wreszcie się odezwał.

– Kiedy zobaczysz szkicownik, będziesz wiedziała, co powinnaś zrobić.